THOMAS PYNCHON
WADA UKRYTA
EKRANIZACJA POWIEŚCI JUŻ NA BLU-RAY I DVD

1

Przyszła alejką i wspięła się po schodkach z tyłu, tak jak to zwykle robiła. Doc nie widział jej od ponad roku. Nikt jej nie widział. Dawniej zawsze chodziła w sandałach, dole od bikini w kwiatki i spranym podkoszulku Country Joe & the Fish. Tego wieczoru była ubrana jak typowa panna z miasta, z włosami znacznie krótszymi, niż zapamiętał. Wyglądała dokładnie tak, jak przysięgała, że nigdy nie będzie.

— To ty, Shasto?

— Wydaje mu się, że ma omamy.

— To chyba kwestia nowego opakowania.

Stojąc w ulicznym świetle wpadającym przez kuchenne okno, tak bladym, że nigdy nie było sensu wieszać zasłon, słuchali dobiegającego z dołu przyboju. Wieczorami, kiedy zdrowo wiało, łoskot fal słychać było niekiedy w całym mieście.

— Chcę, żebyś mi pomógł, Doc.

— Wiesz, że mam teraz biuro? Tak jakbym normalnie chodził do pracy?

— Sprawdziłam w książce telefonicznej. Zastanawiałam się, czy tam pójść. Ale potem pomyślałam, że lepiej dla wszystkich, żeby to wyglądało na schadzkę.

Okay, nici z romantycznego wieczoru. Niech to szlag. Ale może trafi się chociaż jakaś fucha.

— Ktoś ma cię na oku?

— Przez godzinę jeździłam po okolicy, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

— Może piwa? — Podszedł do lodówki, wyjął dwie puszki ze skrzynki, którą trzymał w środku, i podał jej jedną.

— Jest pewien facet... — zaczęła.

Jasna sprawa, ale czym tu się przejmować? Gdyby dostawał centa za każdym razem, gdy klient zaczynał w ten sposób, siedziałby już teraz na Hawajach, urąbany w dzień i w noc, surfując po falach w Waimei, albo jeszcze lepiej, wynajmując kogoś, żeby surfował za niego...

— Dżentelmen wyznający proste wartości — powiedział z uśmiechem.

— No dobrze, Doc. Jest żonaty.

— Chodzi... chodzi o pieniądze?

Shasta odrzuciła do tyłu włosy, których nie miała, i uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „I co z tego?”.

Doc nie miał nic przeciwko temu.

— A żona... wie o tobie?

Pokiwała głową.

— Ale też się z kimś spotyka. Tyle że to nie jest to co zwykle... Oni próbują wyciąć razem jakiś podły numer.

— Żeby zwiać z majątkiem mężusia... No tak, słyszałem, coś takiego zdarzyło się już chyba kilka razy w Los Angeles. Co dokładnie miałbym dla ciebie zrobić?

Doc znalazł papierową torbę, w której przyniósł do domu kolację, i udał, że coś na niej notuje, ponieważ jej mundurek i makijaż wyglądający, jakby go w ogóle nie było, spowodowały starą, dobrze znaną erekcję, którą Shasta wcześniej czy później zawsze wyczarowywała. Czy to się kiedyś skończy?

Oczywiście, że się skończy. Już się skończyło.

Przeszli do frontowego pokoju. Doc położył się na sofie, ale Shasta nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Rzecz w tym, że chcą mnie w to wciągnąć — wyjaśniła. — Uważają, że tylko ja mam do niego dostęp, kiedy jest odsłonięty lub kiedy odsłoni się na tyle, na ile to możliwe.

— Śpiąc z tyłkiem na wierzchu.

— Wiedziałam, że zrozumiesz.

— Nadal starasz się odgadnąć, czy to źle, czy dobrze, Shasto?

— Gorzej — odparła, świdrując go wzrokiem, który tak dobrze pamiętał. Kiedy go pamiętał. — Jak bardzo powinnam być wobec niego lojalna?

— Mam nadzieję, że mnie o to nie pytasz. Żeby nie powtarzać sloganów, ludzie powinni być lojalni wobec każdego, z kim się regularnie pieprzą...

— Dzięki. W poradniku w gazecie pisali mniej więcej to samo.

— Pięknie. Więc nie mówmy o uczuciach, porozmawiajmy o pieniądzach. Jaką część czynszu płaci?

— Cały. — Shasta zmrużyła oczy i przez sekundę dostrzegł na jej ustach dawny zadziorny uśmiech.

— Wysoki?

— W Hancock Park.

Ignorując jej minę, Doc zagwizdał tytułowe takty z *Can't Buy Me Love*.

— Na wszystko dajesz mu oczywiście weksle.

— Ty kutasie, gdybym wiedziała, ile w tobie goryczy...

— We mnie? Staram się po prostu podejść do sprawy profesjonalnie. Ile żonka i jej fagas proponują ci za wejście do spółki?

Shasta wymieniła sumę. Bywały czasy, gdy Doc pędził sto

mil na godzinę Pasadena Freeway, wyprzedzając we mgle podrasowane rollsy z niekryjącymi oburzenia dealerami heroiny i próbując nie wypaść z tych wszystkich źle wyprofilowanych zakrętów, czasy, gdy przemierzał zaułki na wschód od LA River, nie mając do obrony nic poza tkwiącym w kieszeni spodni pożyczonym grzebieniem do afro, a także kiedy wchodził i wychodził z budynku sądów z wartą niewielką fortunę wietnamską trawką. Ostatnio skłaniał się ku przekonaniu, że ta brawurowa epoka odeszła chyba w przeszłość, teraz jednak poczuł, że znowu się denerwuje.

— Więc... — zaczął ostrożnie — więc nie chodzi tutaj o kilka pornograficznych polaroidów. Ani o prochy podrzucone do schowka na rękawiczki. Nic w tym rodzaju...

Dawniej Shasta mogła przeżyć długie tygodnie i co najwyżej raz czy drugi wydąć wargi. Teraz na jej twarzy ukazała się skomplikowana kombinacja mimiczna, której nie potrafił odczytać. Może nauczyła się tego w szkole aktorskiej?

— To nie jest to, co myślisz, Doc.

— Nie przejmuj się, myśleć będę późnej. Co jeszcze?

— Nie jestem pewna, ale wygląda na to, że chcą go umieścić w jakimś wariatkowie.

— Masz na myśli legalnie? Czy podstępem?

— Nikt mi tego nie mówi, Doc. Jestem tylko przynętą. — Jeśli o tym pomyśleć, nigdy wcześniej nie słyszał w jej głosie takiego smutku. — Słyszałam, że spotykasz się z kimś na mieście?

„Spotykasz”. No cóż...

— Och, masz na myśli Penny? Miła dziewczyna z miasta, w gruncie rzeczy szuka dreszczyku sekretnej hipisowskiej miłości...

— A poza tym jest chyba w drużynie prokuratora okręgowego Evelle’a Youngera?

Doc zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Myślisz, że ktoś stamtąd może temu zapobiec?

— Niewiele jest miejsc, do których mogę z tym pójść, Doc.

— W porządku, pogadam z Penny, zobaczymy, co da się zrobić. Twoja szczęśliwa parka... mają jakieś nazwiska, adresy? — Shasta podała mu nazwisko swojego starszego przyjaciela. — To ten sam Mickey Wolfmann, o którym ciągle piszą w gazetach? Ten potentat budowlany?

— Nie wolno ci o tym nikomu mówić, Doc.

— Ani pary z gęby, na tym polega moja praca. Dasz mi może jeszcze jakiś numer telefonu?

Shasta wzruszyła ramionami, skrzywiła się i dała mu numer.

— Postaraj się nigdy z niego nie korzystać.

— Pięknie, a jak mam się z tobą kontaktować?

— Nie kontaktuj się. Wyprowadziłam się z dawnego mieszkania, mieszkam teraz, gdzie się da, nie pytaj.

O mało nie powiedział: „jest tu dość miejsca", choć w rzeczywistości wcale go nie było, ale zauważył wcześniej, jak z wyrazem, można rzec, niesmaku, przygląda się tym wszystkim rzeczom, które się nie zmieniły: obrazowi na aksamicie, zamontowanej na kole od powozu, pochodzącej z angielskiego pubu autentycznej tarczy do gry w strzałki, burdelowej lampie z wibrującym żarnikiem w psychodelicznej purpurowej żarówce, kolekcji wyścigowych samochodów, zrobionych wyłącznie z puszek po piwie Coors, oraz piłce do siatkówki plażowej z autografem Wilta Chamberlaina złożonym flamastrem Day-Glo.

Odprowadził ją na dół tam, gdzie zaparkowała. W tej okolicy wieczory w dni powszednie nie różniły się zbytnio od weekendów, w związku z czym pełno już było pokrzykujących imprezowiczów, pijaków i surferów, ćpunów, którzy wyprawili się po coś do żarcia, facetów z miasta, pragnących zaliczyć

szybki numerek ze stewardesą, a także pracujących w aż nazbyt przyziemnych miejscach facetek z miasta, które miały nadzieję, że ktoś weźmie je za stewardesy. Wyżej, na dojazdach i zjazdach z autostrady, wydechy niewidocznych samochodów wydawały melodyjne dźwięki, które marynarze na przepływających tankowcach mogli uznać za głosy zwierząt polujących nocą na egzotycznym wybrzeżu.

Tuż przed rzęsiście oświetlonym Beachfront Drive zatrzymali się na chwilę w mroku — odwieczny manewr, który zapowiadał w tych stronach, że ktoś kogoś pocałuje albo przynajmniej złapie za tyłek.

— Nie idź dalej, ktoś może nas zobaczyć — powiedziała jednak.

— Zadzwoń, odezwij się.

— Nigdy mnie nie zawiodłeś, Doc.

— Nie martw się. Ja...

— Nie, naprawdę nigdy.

— Och... z pewnością to zrobiłem.

— Nigdy niczego nie udawałeś.

Na dworze było od kilku godzin ciemno, Doc niewiele wypalił i nie były to światła samochodu, ale nim się odwróciła, przysiągłby, że zobaczył padający na jej twarz blask, pomarańczowe światło pojawiające się przed zmierzchem na twarzy osoby, która spogląda na zachód, czekając na kogoś, kto pod koniec dnia zmierza w stronę bezpiecznego portu.

Przynajmniej jej samochód był ten sam co zawsze, używany cadillac eldorado biarritz model ’59, z brezentowym dachem, kupiony w jednym z tych komisów przy Western Avenue, gdzie wystawione na sprzedaż wozy stoją przy samej drodze, żeby wywiało z nich zapach tego, co palili pasażerowie. Kiedy odjechała, Doc usiadł na ławce na Esplanade, odwrócony plecami do rzędów jasnych okien na skarpie, i obserwował

fosforyzujące fale przyboju i zygzaki samochodowych świateł na odległych pagórkach Palos Verdes. Myślał o rzeczach, o które jej nie zapytał, na przykład, jak bardzo uzależniła się od zapewnianego przez Wolfmanna łatwego życia i poczucia władzy, i czy gotowa jest bez żalu wrócić do bikini i T-shirtu. I o to, o co najtrudniej było zapytać: jak bardzo zaangażowała się emocjonalnie, co naprawdę czuła do starego Mickeya? Wiedział, co by mu odpowiedziała: „Kocham go". Cóż innego? Z niedopowiedzianym przypisem, że to słowo jest ostatnio grubo nadużywane. Każdy przyznający się do hipisowskiego stylu życia „kochał" wszystkich. Nie warto też wspominać o innych użytecznych zastosowaniach, na przykład nakłanianiu do seksu ludzi, którzy gdyby mieli jakiś wybór, mogliby go nie uprawiać.

Po powrocie do domu stał przez chwilę, gapiąc się na namalowany na aksamicie obraz kupiony od jednej z meksykańskich rodzin, rozkładających w weekendy towar między Gordita Beach i autostradą, wzdłuż alejek przecinających zielone błonia, po których ludzie nadal jeździli konno. Cichym wczesnym rankiem wyjmowali z furgonetek malowidła szerokości kanapy, przedstawiające Ukrzyżowania oraz Ostatnie Wieczerze, wyjętych spod prawa motocyklistów na odmalowanych z najdrobniejszymi szczegółami harleyach, uzbrojonych w M16 bohaterskich sukinsynów w mundurach sił specjalnych i tak dalej. Na obrazie należącym do Doca widać było południowokalifornijską plażę, która w rzeczywistości nie istniała — palmy, cizie w bikini, deski surfingowe, pełen wypas. Myślał o nim jak o oknie, przez które wyjrzy, kiedy nie będzie mógł znieść tego, co widzi przez tradycyjne, szklane, w drugim pokoju. Czasami po zmroku, na ogół kiedy palił trawkę, obraz rozjaśniał się, jakby ktoś podkręcił gałkę kontrastu Stworzenia tak mocno, że wszystko

zaczynało się jarzyć wewnętrznym blaskiem, zapowiadając, iż tej nocy wydarzy się coś epickiego.

Ta noc zapowiadała się jednak co najwyżej pracowicie. Doc podniósł słuchawkę i próbował dodzwonić się do Penny, ale nie było jej w domu. Postanowiła pewnie przetańczyć całą noc z jakimś krótkowłosym adwokatem, którego czekała obiecująca kariera. Docowi to nie przeszkadzało. Następnie zadzwonił do ciotki Reet, która mieszkała po drugiej stronie wydm, w bardziej podmiejskiej dzielnicy, z domami, ogródkami oraz drzewami, z których powodu nazywano ją Tree Section. Kilka lat wcześniej, po wzięciu rozwodu z niepraktykującym członkiem Kościoła Luterańskiego Synodu Missouri, mającym agencję ubezpieczeniową Thunderbirda i słabość do szukających przygód gospodyń domowych, które można spotkać w barach przy kręgielniach, Reet przeniosła się tu wraz dziećmi z doliny San Joaquin, zaczęła sprzedawać nieruchomości i wkrótce założyła własną agencję, której siedziba znajdowała się obecnie w bungalowie stojącym na tej samej dużej działce, co jej dom. Za każdym razem, kiedy Doc chciał dowiedzieć się czegoś dotyczącego świata nieruchomości, zwracał się niezmiennie do ciotki Reet, znającej, jak lubili powtarzać w wieczornych wiadomościach, od podszewki każdą działkę położoną między pustynią i oceanem. „Któregoś dnia — przepowiadała — wszystko to będą robić komputery, trzeba będzie tylko wpisać to, czego szukasz, albo jeszcze lepiej, powiedzieć — tak jak rozmawiało się z HALEM w *Odysei kosmicznej 2001* — i człowiek otrzyma więcej informacji, niż chciał uzyskać, na temat każdej działki w basenie Los Angeles, poczynając od hiszpańskich nadań ziemi: dane na temat praw poboru wody, obciążeń, księgi wieczystej, co tylko chcesz, wierz mi, tak będzie”. Na razie jednak, w realnym, nie fantastycznonaukowym świecie, można było polegać na niemal

nadprzyrodzonej wiedzy ciotki Reet znającej historie, które rzadko pojawiały się w aktach i umowach notarialnych: na temat rozwodów, małych i dużych rodowych waśni, tego, którędy płynie i którędy płynęła kiedyś woda.

Ciotka odebrała po szóstym dzwonku. W tle słychać było głośno grający telewizor.

— Streszczaj się, Doc, bo mam dziś wieczorem program na żywo i muszę jeszcze nałożyć na siebie ćwierć tony makijażu.

— Co możesz mi powiedzieć o Mickeyu Wolfmannie?

Jeśli ciotce zajęło choć sekundę zaczerpnięcie oddechu, Doc w ogóle tego nie zauważył.

— Górnoniemiecka mafia z Westside, waga superciężka, działa w branży budowlanej oraz kasach oszczędnościowo-pożyczkowych, nieopodatkowane miliardy zakopane gdzieś pod Alpami, formalnie rzecz biorąc, Żyd, ale chce być nazistą, wścieka się i gotów jest użyć siły, kiedy ktoś zapomina, że jego nazwisko pisze się przez dwa „n". Co do niego masz?

Doc opowiedział jej o wizycie Shasty i spisku mającym na celu zagarnięcie fortuny Wolfmanna.

— Bóg wie, że niewielu z nas, ludzi z branży nieruchomości, zachowało czyste sumienie, ale w porównaniu z tymi deweloperami, Godzilla mógłby uchodzić za obrońcę środowiska. Może nie powinieneś się w to mieszać, Larry. Kto ci płaci?

— No cóż...

— Nie wiadomo, tak? To ci niespodzianka. Słuchaj, skoro Shasta nie może ci zapłacić, może Mickey ją rzucił, a ona wini żonę i chce się zemścić?

— Niewykluczone. Ale powiedzmy, że chcę po prostu pogadać i zaprzyjaźnić się z tym całym Wolfmannem.

Czy to, co usłyszał, to było zniecierpliwione westchnienie?

— Nie powinieneś raczej stosować swojego standardowego podejścia. Porusza się w asyście kilkunastu motocyklistów, w większości członków Bractwa Aryjskiego. Wszyscy to stuprocentowi obwiesie po wyrokach. Spróbuj choć raz umówić się wcześniej na spotkanie.

— Chwileczkę, opuściłem sporo zajęć z socjologii, ale... czy Żydzi i Bractwo Aryjskie... Może zapomniałem, ale czy nie darzą się przypadkiem... nienawiścią?

— Z Mickeyem nigdy nic nie wiadomo. Jest nieprzewidywalny. Ostatnio to się pogłębia. Niektórzy twierdzą, że jest ekscentryczny. Moim zdaniem zaćpał się do nieprzytomności. Nie bierz tego do siebie.

— A ten szwadron oprychów jest wobec niego lojalny, mimo że składali przysięgę, w której jest kilka paragrafów o antysemickiej wymowie?

— Jeśli znajdziesz się w odległości dziesięciu przecznic od tego człowieka, położą się plackiem przed twoim samochodem. Jeśli będziesz jechał dalej, poczęstują cię granatem. Jeśli chcesz pogadać z Mickeyem, nie bądź spontaniczny, nie staraj się nawet być miły. Załatw to odpowiednimi kanałami.

— No tak, ale nie chcę też, żeby Shasta miała kłopoty. Gdzie, twoim zdaniem, mógłbym się na niego natknąć zupełnie przypadkowo?

— Obiecałam młodszej siostrze, że nigdy nie narażę jej dzieciaka na niebezpieczeństwo.

— Jestem w dobrych stosunkach z Bractwem, ciociu, znam ich uścisk dłoni i tak dalej...

— No dobrze, mały, to w końcu twoja broszka. Mam tu poważne problemy z tuszem do rzęs, ale słyszałam, że Mickey spędza sporo czasu na terenie swojego ostatniego ataku na środowisko: tekturowego horroru o nazwie Channel View Estates.

— Ach, tam. W ich reklamach występuje Wielka Stopa Bjornsen. Puszczają je w przerwach dziwnych filmów, o których nigdy nie słyszałaś.

— Cóż, może powinien się tym zająć twój stary kumpel gliniarz. Kontaktowałeś się z policją Los Angeles?

— Myślałem, czy nie pójść z tym do Wielkiej Stopy — przyznał Doc. — Już sięgałem po słuchawkę, ale znając Bjornsena i w ogóle, uświadomiłem sobie, że nie wiadomo, czy przypadkiem mnie za to nie przyskrzyni.

— Może lepiej ci pójdzie z nazistami. Nie zazdroszczę ci wyboru. Uważaj, Larry. Odzywaj się co jakiś czas, żebym mogła zawiadomić Elminę, że jeszcze żyjesz.

Pierdolony Bjornsen. Cóż, wiadomo. Wiedziony jakimś pozazmysłowym impulsem, Doc włączył telewizor, nastawił kanał, na którym puszczano stare filmy telewizyjne oraz piloty nienakręconych seriali, i jak na zawołanie na ekranie pojawił się ten wściekły pies, stary wróg hipisów, dorabiający na boku po całym dniu naruszania praw obywatelskich jako akwizytor Channel View Estates. Pod nazwą osiedla widniał napis „Koncept Michaela Wolfmanna".

Jak wielu innych gliniarzy z Los Angeles, Wielka Stopa, który zyskał tę ksywkę z racji preferowanej przez siebie metody wchodzenia do budynku, marzył o karierze w show-biznesie i faktycznie zagrał już wystarczająco dużo ról charakterystycznych, poczynając od komicznych Meksykanów w *The Flying Nun* po drugoplanowych psychopatów w *Voyage to the Bottom of the Sea*, by płacić składki w gildii aktorów i co jakiś czas dostawać honoraria. Być może producenci spotów Channel View byli tak bardzo zdesperowani, że liczyli na jakiś odzew jego widowni — a może, jak podejrzewał Doc, Wielka Stopa dostał pod stołem dolę przy podpisywaniu transakcji. Tak czy inaczej, wszelka godność osobista szła tu w kąt.

Wielka Stopa pokazywał się na ekranie w ciuchach, które wprawiłyby w zakłopotanie najbardziej odpornych na ironię kalifornijskich hipisów: tego wieczoru była to długa do kostek aksamitna szata w tureckie wzory w tak ostrych kolorach, że telewizor Doca, tandetny odbiornik kupiony kilka lat wcześniej na parkingu przed Zody's na wyprzedaży Moonlight Madness, naprawdę nie był w stanie ich oddać. Wielka Stopa uzupełnił swój ubiór koralikami miłości, ciemnymi okularami z symbolami pokoju na szkłach oraz gigantyczną prążkowaną afro w kolorach chińskiej czerwieni, jasnej zieleni i indygo. Często kojarzył się widzom z legendarnym sprzedawcą używanych samochodów, Calem Worthingtonem, tyle że Cal słynął z tego, że w jego programach uczestniczyły żywe zwierzęta, a w spotach Wielkiej Stopy występowała bezlitosna banda małych bachorów, które właziły na meble w modelowych domach, skakały do basenów, wrzeszczały, awanturowały się i udawały, że kładą Wielką Stopę trupem, krzycząc: „Władza dla czubków!" i „Zabić świnię!". Widzowie wpadali w ekstazę. „Te małe szkraby, wołali, są naprawdę niesamowite!". Żaden przekarmiony leopard nie zirytował nigdy Cala Worthingtona tak bardzo, jak te dzieciaki irytowały Bjornsena, ale był przecież, na Boga, profesjonalistą, i zaciskając zęby, studiował pilnie, kiedy tylko je puszczali, stare filmy z W.C. Fieldsem i Bette Davis, żeby podejrzeć, co jeszcze mógłby zrobić, by dopasować się do dzieciaków, których słodycz była dla niego w najlepszym razie problematyczna.

— Jeszcze się zakumplujemy — charczał pod nosem, udając, że zaciąga się spazmatycznie dymem z papierosa. — Jeszcze się zakumplujemy.

Nagle rozległo się walenie do drzwi frontowych i przez krótką chwilę Docowi wydawało się, że to Bjornsen we własnej osobie, gotów ponownie wywalić kopniakiem drzwi,

tak jak to robił za dawnych czasów. Był to jednak tylko Denis z sąsiedztwa, którego imię wszyscy wymawiali tak, by rymowało się z „penis”. Sprawiał wrażenie bardziej zdezorientowanego niż zwykle.

— Więc, Doc, jestem na górze, na Dunecrest, wiesz, jest tam ten drugstore, i nagle widzę ich szyld. Drug? Store? Jarzysz? Przechodziłem tamtędy z tysiąc razy i nigdy tak naprawdę tego nie zauważyłem. Drug? Store! Człowieku, tak po prostu, więc wszedłem do środka, za ladą stał Uśmiechnięty Steve, i mówię: „Hej, cześć, czy mógłbym dostać trochę dragów?”. Masz, jeśli chcesz, możesz się sztachnąć.

— Dzięki, sparzyłbym sobie tylko usta.

Denis zdążył tymczasem zawędrować do kuchni i przeglądał zawartość lodówki.

— Jesteś głodny, Denis?

— Jak skurwysyn. Hej, pamiętasz, jak Godzilla mówi zawsze do Mothry: „Może poszlibyśmy coś przekąsić?”.

Podeszli na Dunecrest i skręcili w lewo, w stronę barów i knajp. Pipeline Pizza pękała w szwach, w unoszącym się w środku gęstym dymie nie widać było drugiego końca sali. Z szafy grającej, którą słychać było aż w El Porto i dalej, płynęły dźwięki *Sugar, Sugar* zespołu Archies. Denis przecisnął się do kuchni, żeby zamówić pizzę, a Doc obserwował Szczupłego Ensenadę grającego na jednym ze stojących w kącie automatów Gottlieba. Ensenada prowadził mieszczący się przy tej samej ulicy sklep z akcesoriami dla palaczy o nazwie Ultrafioletowa Mózgownica i był tutaj kimś w rodzaju wodza wioski. Po wygraniu tuzina darmowych gier zrobił sobie przerwę, zobaczył Doca i skinął do niego głową.

— Fundnąć ci piwo, Ensenada?

— Czy ten wielki stary cadillac z brezentowym dachem, który widziałem przy Drive, to nie była bryka Shasty?

— Wpadła na parę minut — odparł Doc. — Dziwnie było znowu ją spotkać. Zawsze myślałem, że jeśli ją jeszcze zobaczę, to w telewizorze, nie na żywo.

— Naprawdę? Czasami mam wrażenie, że widzę ją gdzieś na skraju ekranu. Ale zawsze okazuje się, że to tylko ktoś podobny. I oczywiście nie tak miły dla oka.

Smutne, lecz prawdziwe, jak powiada Dion. W liceum Playa Vista Shasta zdobywała tytuł Miss Klasy przez cztery kolejne lata, zawsze grała pierwszą naiwną w szkolnych przedstawieniach, marzyła tak jak wszyscy o karierze gwiazdy filmowej i kiedy tylko stało się to możliwe, wyfrunęła z gniazda, szukając jakiegoś taniego lokum w Hollywood. Doc nigdy nie mógł zgadnąć, co w nim widziała poza tym, że był jedynym znanym jej ćpunem, który nigdy nie zażywał heroiny, dzięki czemu mieli dla siebie sporo czasu. Zresztą nie byli ze sobą zbyt długo. Wkrótce zaczęła chodzić na castingi i pracować w teatrze, na scenie i poza sceną. Doc stawiał tymczasem pierwsze kroki jako detektyw i każde z nich, odnalazłszy inne płynące nad megalopolis karmiczne prądy, patrzyło, jak to drugie odpływa ku swemu przeznaczeniu.

Denis wrócił ze swoją pizzą.

— Zapomniałem, o jakie prosiłem dodatki.

To zdarzało się w Pipeline w każdy wtorek albo w Noc Taniej Pizzy, kiedy dowolnej wielkości pizza, z dowolnymi dodatkami, kosztowała dokładnie dolara i trzydzieści pięć centów. Denis usiadł i zaczął jej się intensywnie przyglądać, jakby miała mu coś zrobić.

— To kawałek papai — domyślił się Ensenada. — A to... czy to skórki wieprzowe?

— Jogurt jeżynowy na pizzy, Denisie? Szczerze mówiąc, fuj — skomentowała Sortilège, która pracowała w biurze Doca, aż jej chłopak Spike wrócił z Wietnamu i uznała, że miłość

jest ważniejsza od dorywczej pracy (tyle w każdym razie Doc zapamiętał z jej wyjaśnień). Tak czy inaczej, miała predylekcje do czegoś innego. Była w kontakcie z niewidzialnymi siłami i potrafiła zdiagnozować i rozwiązać każdy problem, emocjonalny i fizyczny, robiąc to przeważnie za darmo, choć czasem zamiast gotówki zgadzała się przyjąć trawkę lub LSD. Z tego co wiedział Doc, nigdy się nie myliła. W tym momencie przyglądała się jego włosom i jak zwykle ogarnęła go panika.

— Lepiej coś z tym zrób — stwierdziła, kiwając energicznie głową.

— Znowu?

— Nigdy nie przestanę powtarzać: zmień swoją fryzurę, zmień swoje życie.

— Co polecasz?

— To zależy od ciebie. Zrób to, co podpowiada ci intuicja. Nie pogniewasz się, Denis, jeśli wezmę ten kawałek tofu?

— To cukierek ślazowy — odparł Denis.

*

Wróciwszy do domu, Doc zrobił sobie skręta, włączył nocny film, znalazł stary podkoszulek i podarł go na krótkie paski o szerokości mniej więcej pół cala. Kiedy uzbierał ich koło setki, wziął prysznic i nie czekając, aż wyschnie mu głowa, zaczął nawijać wąskie pasemka włosów na paski T-shirtu, które następnie wiązał w kokardki. Przyozdobiwszy tak w stylu południowych plantacji całą głowę, spędził następne trzydzieści minut (w trakcie których być może nawet kilka razy przysnął) z suszarką w ręku, rozwiązując kokardki, rozczesując włosy i modelując je w coś, co wydawało mu się dość udaną, mierzącą półtorej stopy średnicy niemurzyńską fryzurą afro. Potem wsunął ostrożnie głowę do kartonu z monopolowego, żeby jej nie popsuć, położył się na sofie i tym razem naprawdę zasnął.

Przed świtem przyśniła mu się Shasta. Dokładnie rzecz biorąc, nie bzykali się, ale było to coś podobnego. Każde z nich oderwało się od swoich spraw, tak jak to się zwykle dzieje w snach śnionych nad ranem, i spotkali się w dziwnym motelu, który był jednocześnie salonem fryzjerskim. Shasta powtarzała, że „kocha" jakiegoś faceta, którego nazwiska ani razu nie wymieniła, ale obudziwszy się, Doc doszedł do wniosku, że musiała mówić o Mickeyu Wolfmannie.

Nie było sensu dalej spać. Doc wdrapał się na górę i zjadł w Wavos śniadanie z siedzącymi tam na okrągło zaprzysięgłymi surferami. Podszedł do niego Zły Flaco.

— Hej, człowieku, znowu szukał cię ten gliniarz. Co ty masz na głowie?

— Gliniarz? Kiedy to było?

— Wczoraj wieczorem. Zajechał pod twój dom, ale cię nie było. Detektyw ze śródmiejskiego wydziału zabójstw w mocno poobijanym el camino. Tym z silnikiem trzysta dziewięćdziesiąt sześć.

— To Bjornsen Wielka Stopa. Dlaczego nie wywalił po prostu drzwi kopniakiem, tak jak to zwykle robi?

— Mógł nosić się z takim zamiarem, ale powiedział coś w rodzaju: „Jutro też jest dzień"... Jutro to znaczy dzisiaj?

— Gdyby to ode mnie zależało, to nie.

*

Biuro Doca mieściło się niedaleko lotniska, przy East Imperial Avenue. Dzielił budynek z doktorem Buddym Tubeside'em, którego praktyka polegała głównie na wstrzykiwaniu ludziom „witaminy B_{12}", jak eufemistycznie określał sporządzoną przez siebie mieszankę amfetamin. Mimo wczesnej pory Doc musiał się tego ranka przecisnąć przez kolejkę pacjentów z niedoborem „witaminy B_{12}", sięgającą

parkingu i składającą się z mieszkających przy plaży gospodyń domowych o wysokim wskaźniku melancholii, aktorów wezwanych na casting, opalonych na brązowo staruchów, niemogących się doczekać kolejnego dnia, który spędzali aktywnie, ględząc ze sobą i wylegując się na słońcu, stewardes prosto ze stresującego nocnego lotu, a nawet kilku przypadków złośliwej anemii i wegetariańskiej ciąży. Wszyscy oni, paląc jak lokomotywy, gadając do siebie i szurając nogami, wchodzili jeden po drugim do poczekalni małego budynku z pustaków, gdzie stała, trzymając w ręku notes i sprawdzając ich nazwiska, Petunia Leeway, olśniewająca piękność w wykrochmalonym czepku i superkrótkim fartuszku (stanowiących nie tyle prawdziwy uniform pielęgniarki, co lubieżny komentarz na jego temat), których całą ciężarówkę w najróżniejszych modnych pastelowych kolorach doktor Tubeside nabył ponoć za śmiesznie niską cenę w sklepie Frederick's of Hollywood.

— Dzień dobry, Doc — pozdrowiła go Petunia z melodyjnym zaśpiewem knajpianej piosenkarki, co stanowiło wokalny ekwiwalent zatrzepotania długimi rzęsami. — Masz szałową afro.

— Siemasz, Petunia. Nie rozwiodłaś się jeszcze z tym... jak on się nazywa?

— Och, Doc...

Przy podpisywaniu umowy obaj podnajemcy, niczym koledzy dzielący piętrową pryczę na letnim obozie, rzucili monetą, by ustalić, komu przypadnie lokal na górze, i Doc przegrał, albo jak lubił myśleć, wygrał. Na tabliczce na jego drzwiach widniał napis: „Biuro Dochodzeniowe LSD". LSD, jak wyjaśniał, gdy go o to pytano, co nie zdarzało się zbyt często, oznaczało „Lokalizacja, Sekurytyzacja, Detekcja". Pod spodem widniał obrazek przedstawiający olbrzymią, przekrwioną gałkę oczną w typowych psychodelicznych barwach zieleni i fuksji,

poprzecinaną dosłownie tysiącami naczyń włoskowatych. Ich odmalowanie zostało zlecone komunie konsumentów speedu, którzy już dawno temu wyemigrowali do Sonomy. Potencjalni klienci nieraz przez całe godziny gapili się na ten okulistyczny labirynt, zapominając często, po co przyszli.

Gość już tam faktycznie był i czekał na Doca. Co niezwykłe, facet był czarny. Oczywiście czarnoskórych obywateli widywano czasami na zachód od Harbor Freeway, lecz rzadko zdarzało się, by któryś zapuścił się tak daleko poza swoje terytorium, praktycznie tuż nad morze. Ostatnim razem, kiedy ktoś zobaczył na przykład w Gordita Beach czarnego motocyklistę, na wszystkich policyjnych częstotliwościach słychać było niespokojne wezwania o wsparcie, sformowano niewielki oddział radiowozów i ustawiono blokady wzdłuż całej Pacific Coast Highway. Stary miejscowy odruch pochodził z czasów tuż po drugiej wojnie, kiedy pewna czarna rodzina naprawdę chciała wprowadzić się do miasta i obywatele, za życzliwą radą Ku-Klux-Klanu, spalili dom do gołej ziemi, a potem, jakby zadziałała jakaś starożytna klątwa, nie pozwolili, by wybudowano w tym miejscu jakikolwiek inny budynek. Działka pozostawała pusta, aż skonfiskowała ją w końcu rada miejska i urządziła tam park, w którym młodzież Gordita Beach, prawem karmicznego dostosowania, zaczęła się wkrótce zbierać nocami, żeby chlać, ćpać i się bzykać, doprowadzając rodziców do depresji, niekoniecznie jednak powodując spadek cen nieruchomości.

— Powiedz, o co chodzi, bracie — przywitał gościa Doc.

— Daruj sobie tę gadkę — odparł czarny facet, przedstawiając się jako Tariq Khalil i mierząc uważnym spojrzeniem (które w innych okolicznościach można by uznać za obraźliwe) fryzurę Doca.

— No dobrze. Proszę wejść.